

„Niebezpieczne związki” czy farsa

Pierwsze określenie, jakie przychodzi do głowy po obejrzeniu „Niebezpiecznych związków” w Teatrze Komedia, to wulgarność. Chociaż nie ma w nich odynarnych słów i gestów

JANUSZ MAJCHEREK

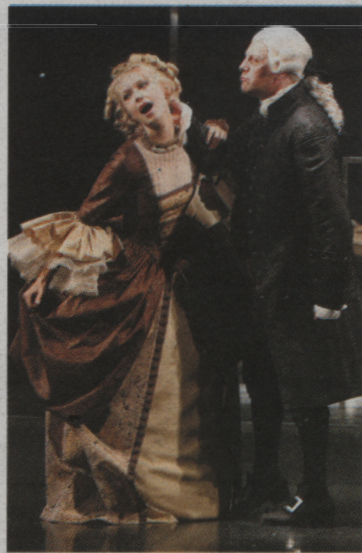
A jednak przedstawienie jest wulgarnie, ponieważ postaci literackiego pierwowzoru sprowadza na dno popolitości.

Mój główny zarzut dotyczy zatem obniżenia tonu i stylu sztuki. Christopher Hampton napisał ją na podstawie korespondencyjnego romanisu de Laclosa, zręcznie krojąc z listów dramaturgię i dialogi. Sztuka przeszła przez wiele teatrów, stała się także podstawą do nakręcenia filmu Stephen Frearsa, z pamiętnymi rolami Glenn Close i Johna Malkovicha. Nawet jeśli Hamptonowi można by zarzucić, że nienaganny kształt teatralny „Niebezpiecznych związków” osiągnął kosztem redukcji i psychologicznego spłylenia powieści, to przecież trzeba mu oddać, że plastycznie zarysował sposób bycia francuskiej arystokracji, która w epoce schyłkowej

szuka rozrywek swoiście wyrafinowanych. Poszukiwania takie wiodły niekiedy na szczyty czy może w otchłanie perwersji, jak w przypadku markiza de Sade'a. Bohaterowie de Laclosa zadowalali się reżyserowaniem intrygi, erotycznym makiawelizmem i grą o dominację, która choć w istocie sprowadzała się do immoralizmu i rozwiązłości, to toczyła się w gorsecie konwencji. Nawet jeśli pod spodem ten libertyński świat był zepsuty, z wierzchu wabił i zachwycał formą. Z czego wniosek płynąłby taki, że o scenicznym powodzeniu „Niebezpiecznych związków” decyduje właśnie forma. Znajomość stylu. Umiejętność użycia go na scenie. Mam na myśli sprawy elementarne, jak noszenie sukni z epoki, siadanie w niej na krześle, posługiwanie się wachlarzem, poruszanie się po scenie etc. No i oczywiście mówienie, które w świecie salonów i buduarów, gdzie nim przyszło co do czego, najpierw się rozma-

wiało, powinno być popisem sztuki konwersacji.

Tymczasem w Komedi sytuacji wygląda tak jak w farsach, w których służba przebierała się za swoich chlebodawców, budząc śmiech kanciastym nieobyciem. W taki właśnie sposób Adriana Biedrzyńska przebrała się lub została przebrana za markizę de Merteuil i gra w najlepszym razie wyobrażenie subretki o światowej damie, która na dodatek uosabia zło na miarę Królowej Śniegu. Jeśli już Biedrzyńska trzeba obsadzać w rolach kostiumowych, to sugerowałbym Madame Sans-Gene. Z kolei pod wicehrabiego de Valmonta podszyna się Jan Jankowski, artysta o nieco anemicznej powierzchowności, którego, skoro już mowa o postaciach z XVIII wieku, widziałbym raczej w jakiejś komedii epoki stanisławowskiej, np. w „Fircyku w zalotach”. Gdy idzie o brak manier, wicehrabia dorównuje bezpardonowej markizie, mianowicie



Hanna Piaseczna i Jan Jankowski w „Niebezpiecznych związkach”

dodaje sobie animuszu, klepiąc się po udach jak dragon, huzar czy inny szwoleżer, ale na pewno nie jak arystokrata, któremu takie gesty nie uchodzą. Jeszcze tylko brakuje, żeby klepaniu towarzyszyło siarczyste przekleństwo typu „do kroćset!”. Patrząc zaś na panie de Volanges (Hanna Dunowska, Hanna Piaseczna), spodziewałem się, że lada moment usłyszę: „Hesia, do fortepianu!”.

Przedstawienie Bartłomieja Wyszomirskiego całe składa się z niestosowności, w tym sensie, że i reżyser, i protagoniści wydają się głusi i ślepi na zasadę decorum. Nonszalancki stosunek do stylu i lekceważenie dla historycznych kontekstów przejawiają się nawet w drobiazgach. Np. drugą część spektaklu otwiera scena, w której towarzystwo przysłuchuje się arii Leporella („Notte e giorno faticar”, o ile pamiętam). Prapremiera „Don Giovanniego” odbyła się w 1787 r., „Niebezpieczne związki” ukazały się pięć lat wcześniej. O, taki mały anachronizm.

Publiczność oklaskiwała spektakl na stojąco. Myślałem, że owacja przeznaczona jest dla dawno niewidzianej Zofii Kucówny, która w epizodzie pani de Rosemonde wnosi na chwilę blask rasowego aktorstwa. Ale, niestety, w przeciwieństwie do piszącego tego słowa ukontentowanie widzów miało charakter całościowy i nie znało granic. ●

JACEK LAGOWSKI